

Michał Bąkowski

Józef Mackiewicz i cenzura cz. 2

...ale po co o tym głośno mówić...

Józef Mackiewicz walczył z cenzurą przez całe życie. Zaczęło się rzecz jasna od wileńskiego Słowa, głośnego na całą Polskę dziennika konserwatystów kresowych, tzw. „Żubrów”, redagowanego przez cały czas swego istnienia przez starszego brata Józefa, Stanisława Cata-Mackiewicza. Słowo było w pewnych okresach najbardziej cenzurowaną gazetą w Polsce. Próbowałem wykazać w części I, że walka z cenzurą to coś więcej niż tylko utarczki z urzędem cenzorskim, nie znaczy to jednak wcale, że bezpośrednie ingerencje urzędowe nie są uciążliwe. Cięcia, białe plamy i konfiskaty są niewątpliwie ważną, choć prymitywną, metodą działania cenzorów.

Słowo było ostro cenzurowane, a artykuły Mackiewicza zdejmowane. Cały nakład bywał konfiskowany, a numer musiał być drukowany ponownie z białymi plamami, co miało poważne skutki dla opłacalności pisma. Konfiskata była więc zawsze czymś więcej niż tylko próbą niedopuszczenia do publikacji „niebłagonadiożnych” myśli – była także formą prześladowania. Żaden wydawca na świecie nie może sobie pozwolić na dwukrotne zwiększenie kosztów wydania numeru bez jakiegokolwiek szansy na zwiększenie dochodu. Co więcej, traci się regularne reklamy i ogłoszenia, gdy pismo jest często konfiskowane, a więc samo istnienie publikacji staje pod znakiem zapytania. Na przykład w marcu 1928 roku „wobec bezpodstawnych konfiskat” czterech pism wileńskich, w proteście przeciw postępowaniu władz zawieszono wydawanie gazet w mieście na trzy dni. Cenzura w Polsce przedwojennej była bez wątpienia formą administracyjnego prześladowania niesfornych redaktorów, ale na szczęście nie była sprawna. Egzemplarze pełnych wydań, tj. sprzed konfiskaty, zachowały się do dziś w niektórych bibliotekach, a artykuły zdjęte w głównym wydaniu Słowa znajdowały się często w całości w prowincjonalnych odmianach gazety. Wiemy więc niekiedy dość precyzyjnie, jakie to „przestępstwa” narażały Słowo na niebyt.

Dla przykładu, artykuł młodszego Mackiewicza pt. „Proces ‘żołnierzy’ Doboszyńskiego” z maja 1937 roku został pocięty przez cenzurę, ale jest w nieocenzurowanej wersji zarówno w Kurierze Słonimskim, jak i w niektórych zbiorach bibliotecznych. Wiemy więc z żenującą dokładnością, że cenzura usunęła następującą odpowiedź świadka przed sądem:

„Wolałbym sam siedzieć 10 lat w więzieniu, byle Doboszyński był wolny!”

Mackiewicz nie występował jednak przeciw istnieniu cenzury w ogóle. Wobec potężnej propagandy bolszewickiej w Polsce, zdawał sobie sprawę z jej konieczności, bo też jak inaczej miało bronić się młode państwo polskie przeciw zalewowi sowieckiego kłamstwa, uderzającego w same podstawy tej państwowości. Toteż nie mógł się nadziwić, że pozwala się na komunistyczną agitację, a zdejmuje artykuły o rzeczach, o których wszyscy wiedzą. Jego główny zarzut wobec cenzorskich zapędów polegał na tym, że cięcia i konfiskaty były częścią wszechobejmującej fikcji, absurdalnego „cicho-sza!” na temat spraw powszechnie znanych.

W zabawnym artykule pt. „Nowy sposób na zmniejszenie przestępczości”, młodzieńki, bo zaledwie 22 letni, Mackiewicz pisał o rozporządzeniu wileńskiego komendanta policji, zabraniającym wszystkim urzędom podległym jego władzy „udzielania jakichkolwiek informacji prasie o wypadkach przestępczości na terenie naszego miasta”. „Rozporządzenie powyższe nie jest wcale tak śmieszne, bezcelowe, niemądre i nieuzasadnione, jak to się wszystkim wydawać powinno,” drwił bezlitośnie autor. Jego celem jest zmniejszenie przestępczości. Skoro bowiem dzienniki wileńskie zdają prawdomównie sprawę z napadów, rabunków i kradzieży w mieście, a każda notatka kończy się opisem nieudolnego pościgu policji, to czytający bandyci mogą dojść do słusznego wniosku, że są bezkarni, a zatem należy albo zakazać bandytom czytania, albo gazetom pisania. Ten sarkastyczny wniosek z prześmiewczego felietonu można niestety zastosować do późniejszych zmagania Mackiewicza o wolność słowa: „Czy to nie jest prawda? Owszem, prawda. Ale po co o tym mówić?!”

Istotę tego niezwykłego zjawiska zawarł po latach w słowach, które stały się tytułem powieści: nie trzeba głośno mówić!... (Nb. o ile mi wiadomo, zwrot ten pojawia się po raz pierwszy w powieści żony Mackiewicza, Barbary Toporskiej, pt. Siostry.) Utrzymywał – w moim przekonaniu słusznie – że przemilczanie prawdy, zwłaszcza gdy przybiera postać zmowy milczenia, jest przejawem cenzury nawet wówczas, gdy nie ma z urzędem cenzorskim nic wspólnego.

Odnoszę wrażenie, że nie jest to fenomen wyłącznie polski, ale na polskim gruncie ma długą i fatalną tradycję. Skąd właściwie bierze się u (wydawałoby się) rozsądnych skądinąd ludzi przekonanie, że przemilczenie problemu usuwa go? Jest to jakaś chorobliwa wersja polityki strusiej, to znaczy chowania głowy w piasek wobec nadchodzącego niebezpieczeństwa. Z tą różnicą, że w wypadku zmowy milczenia, zamiast chowania głowy własnej, ucisza się innych, sypie się im piaskiem w oczy, a zwłaszcza w usta, byle tylko nie mówić głośno!... Uboczny efekt jest taki, że zacieśniają się szeregi narodowej dyscypliny nie przeciw prawdziwym wrogom, ale przeciw tym, którzy głośno mówią – i to także będzie cechą charakterystyczną przyszłych zmagania Mackiewicza. Zwróćmy uwagę: nie wolno głośno mówić. Mamy zatem do czynienia z czymś na kształt niewypowiedzianego cenzorskiego nakazu: wszyscy o tym wiedzą, ale mówić głośno nie należy, bo ... bo co, właściwie? Czy aby

nie chodzi tu o czar? Wypowiedziane głośno słowo może spowodować, że czar pryśnie, co nie daj Boże! Jak w baśni Andersena, kiedy wszyscy widzą, że król jest nagi, ale dopiero głośno wypowiedziane słowo ukazuje im tę nagość w całym majestacie swej królewskiej golizny.

Mackiewicz w setkach – to nie jest czcza retoryka, mowa dosłownie o setkach – reportaży, felietonów i artykułów politycznych pisał o biurokratycznym koszmarze przedwojennej Polski. O niezliczonym mrowiu zakazów i rozporządzeń, a co gorsza nakazów, przykazów i ukazów, regulujących każdy przejaw życia; o arogancji polskiej administracji wobec tzw. Kresów, które widziano jako poletko dla „polskiej misji kulturowej”; o impertynencji niekompetentnych urzędników, obdarzonych szalonymi przywilejami; i wreszcie o horrendalnym bezprawiu, które podważało szacunek obywatela do państwa, niweczyło jego wiarę w sprawiedliwość i podkopywało poszanowanie prawa, które jest fundamentem każdej państwowości. Mackiewicz bronił białoruskiego chłopca nie przed jakąś mglistą „niesprawiedliwością” rodem z socjalistycznej propagandy, ale całkiem konkretną niesprawiedliwością wynikającą z nieposzanowania prawa przez administrację do strzeżenia prawa powołaną; polską administrację państwową, która traktowała chłopów kresowych jako „mniejszości narodowe”, gdy on widział w nich „swoich”, „tutejszych”, krajan – niezależnie od wyznania i języka. Przy tym wszystkim najbardziej irytowała go wszechogarniająca fikcja: fikcja mocarstwowa, fikcja domagania się kolonii – tak! kolonii! – fikcja geniuszów u steru itp., a wszystko to, kiedy tuż, tuż, za granicą ryską, najbliżsi bracia białoruskiego chłopca, sprzedani bolszewikom w Rydze przez pana Grabskiego, żyli jeszcze na polskich ziemiach i skowycieli pod sowieckim jarzmem.

„Co się wyrabia w odległości 70 km od Mińska”, zapytywał retorycznie w artykule z 1937 roku, „siedziby najruchliwszego, najenergiczniejszego, najwścieklejszego ogniska antypolskiej propagandy na świecie. Tego Mińska, w którym wydawano karabiny maszynowe dla band dywersyjnych, gdzie drukowane są w milionowych egzemplarzach antypolskie wydawnictwa, skąd idą na i przez zieloną granicę karawany agitatorów, szpiegów, wywrotowców płatnych i ideowych sługusów Stalina.” I w pobliżu tej strasznej granicy prześladuje się konfiskatami nie bolszewickich agitatorów, ale konserwatywnych dziennikarzy z wileńskiego pisma, „Żubrów”, którzy biorą w obronę białoruskiego chłopca maltretowanego przez idiotyzmy polskiej administracji.

Powtarzającym się leitmotywem publicystyki Mackiewicza z owych czasów jest wyrzekanie na drażniącą sielankowość opisów kresowej rzeczywistości.

„Tego rodzaju ujmowanie naszego kraju, w fałszywym świetle radosnej frazeologii, jest najfatalniej pojętym obowiązkiem. Można się poczuwać do obowiązku pocieszania zdawkowymi zapewnieniami o dobrym stanie zdrowia samego chorego, ale nie wolno

w ten sam sposób zapewnić lekarza, który winien zdawać sobie sprawę przede wszystkim z istotnego stanu pacjenta, jeżeli tym lekarzem ma być istotnie państwo polskie...”

Z „radosną frazeologią” przyjdzie mu jeszcze walczyć w przyszłości w zupełnie innych warunkach – podczas wojny i na emigracji – w imię przekonania, że odrzucenie frazesów jest warunkiem postawienia trafnej diagnozy. „Sytuacja naszego pisma,” pisał jeszcze w 1937 roku, „tym się różni od innych osób cywilnych i prawnych, że się obraca niejako w orbicie permanentnego prima-aprilis, każdego dnia będąc narażone na niespodziankę w postaci konfiskaty.”

Mackiewicz nazywał to manią „tajemnicy i kordonu”. „Niezliczona ilość rzeczy w Polsce okrywana jest tajemnicą, nie tylko przykra prawda dla tych, którzy dysponują konfiskatami pism. Najbliższe, najmniej zda się, uzasadniające poufność zdarzenie – okrywane jest tajemnicą.” Kordonomania natomiast odcina kordonem „świat obywatelskich ‘dołów’ od biurokratycznej ‘góry’”. Pozwolę sobie przełożyć jego terminologię na dzisiejsze stosunki: Mackiewicz mówił o tzw. środowiskach opiniotwórczych („górze”) i ich mięsie armatnim, tzw. opinii publicznej. Kordon oddziela jednych od drugich. Ci pierwsi tworzą „jedyną słuszną” linię, po czym nazywają ją opinią publiczną, by móc powoływać się na nią, gdy z nadmierną skromnością, dławią tych kilku niepokornych, którzy wskutek zastarzałych kompleksów odmawiają poddania się nakazom rzekomej opinii publicznej. Mackiewicz określał ten stan mianem „bazowania na fikcji”.

W „szczęsnych latach wolnej Polski” wszechobecna fikcja składała się na równi z radosnych frazesów, których nie powstydziałaby się prłowska propaganda sukcesu, i z upartego przemilczania wszelkich problemów. Milczenie na temat kwestii istotnych było dla niego bolesne zawsze, ale w 1939 roku przemilczanie sytuacji stawało się czymś znacznie bardziej niebezpiecznym. Kiedy na przykład hitlerowskie Niemcy wysiedliły tysiące polskich Żydów, Mackiewicz udał się do obozu przejściowego w Zbąszyniu i napisał trzy reportaże na ten temat. Od czego zaczęła się sprawa?

„Zaczęła się jak wiele spraw w Polsce: przede wszystkim od zakazu pisania o niej i od konfiskat gazet. Od tego bezsensownego: ‘cicho, sza’, o którym nikt nigdy nie wie, po co i dlaczego, i w jakim celu ma się milczeć i nakrywać rodzimym korcem? – Może gdyby wybuchł od razu wielki skandal, nie trwałby tak długo.”

Krótko potem napisał artykuł o tajemnicy urzędowej, którą objęte było w przedwojennej Polsce wiele dziedzin codziennego życia. „Dwie trzecie życia publicznego okryte jest w Polsce tajemnicą, najniepotrzebniejszą w świecie, najszkodliwszą, bo podrywającą znaczenie i zaufanie do istotnej, poważnej tajemnicy, w dziedzinach, które jej

wymagają.” Podczas gdy dyslokacja wojsk na Pomorzu – przypominam: jest rok 1939! – nie jest otoczona oficjalną tajemnicą, to jednocześnie „konfiskuje się gazety o to, o czym wiedzą nawet analfabeci, nie umiejący ich czytać...”

W lipcu tegoż roku, kiedy już zupełnie otwarcie mówiono o nadchodzącej wojnie, Mackiewicz zwracał uwagę na kolejną sztuczkę przemilczania. Tym razem czynniki oficjalne chciały wykorzystać ogólne napięcie dla osiągnięcia jeszcze większej kontroli nad wszelką krytyką.

„Gdy się porusza jakąś sprawę, chociażby ważną i słuszną, ale oczywiście drugo- czy trzeciorzędą w zestawieniu z naczelnym hasłem obrony – panowie ci w odpowiedzi, chowając się za hasłem, nadużywając go często, załamują demagogicznie ręce: ‘Boże! Polsce dziś-jutro grozi wojna, a oni tam czepiają się...’”

Kiedy nadeszły pogłoski o podpisaniu paktu niemiecko-sowieckiego, pisał 23 sierpnia 1939 roku:

„Fatalna fikcja, rozpanoszona u nas, przeżera już nie tylko obyczaje, ale psychikę narodu. Wierzymy i widzimy to tylko, co widzieć chcemy, a nie to, co jest zgodne z rzeczywistością. Ponieważ niepopularne było w tej chwili wskazywanie na sowiecką dwulicowość, tedy nikt nie chciał jej widzieć, chociaż konkretny jej obraz w postaci sowieckich koncepcji ‘pośredniej agresji’ podsuwaliśmy pod nos naszej opinii.”

Ostrzegał, że porozumienie takie daje sowieciarzom „maksimum dogodnych możliwości”, że nie ma już mowy o „podziale wpływów, ale o podziale terytoriów”. Toteż kiedy nadeszła katastrofa i Polska runęła w przepaść, kiedy sowieci zajęły Wilno, po czym oddały je w ręce Litwy, Mackiewicz od razu zabrał głos. Napisał w Kownie artykuł pt. „My, Wilnianie...” który wydrukowany został w Lietuvos Zinios 14 października 1939 roku.

„Gdyby mi ktoś teraz powiedział, że piszę paszkwil przeciw Polsce, odpowiedziałbym mu, że piszę nie tylko z rozkrwawionego serca, ale i głębokiego przekonania. Bo w moim głębokim przekonaniu, obowiązkiem dziś dziennikarza polskiego, jest nie tylko podtrzymać ducha Narodu, ale i wskazać palcem na tych i ich metody, które doprowadziły do niebywalej w dziejach klęski. A to dlatego, aby w oczach świata, hańbą za tę klęskę, nie obarczano całego Narodu Polskiego, a tylko jej sprawców.”

Rozwinął to stanowisko w licznych artykułach w Gazecie Codziennej, którą założył i redagował po powrocie do Wilna. Była to z jego strony konsekwentna kontynuacja tez

publicystyki przedwojennej. Fikcja i przemilczanie doprowadziły do klęski, nie wolno więc popełniać nadal tych samych błędów i trzeba głośno mówić. Milczenie stworzy tylko miejsce dla odrodzenia się „radosnej frazeologii”. Domagał się rzetelnej dyskusji o przyczynach klęski i o aktualnej sytuacji Polaków w Wilnie. Pisał wprost, o czym wszyscy wiedzieli, tylko nie chcieli mówić głośno: o klęsce.

„Przyczynę jej skłonny jestem dostrzegać w tym bezmiarze fikcji, w której brnąć do rzekomego celu po omacku, namacywaliśmy przedmioty codziennego użytku: pomnik, frazes, genjusz itd. i tak się szło, potykając o nożyce do przecinania wstęg. (...) Wiem, że o tych rzeczach nie wszyscy uważają za stosowne dziś mówić głośno. Że to niby pora nieodpowiednia i nie nam sądzić. (...) Nam strzelać nie kazano! - mogliby powtórzyć z Reduty Ordon, gdy się cofali przed zgrzytem sowieckich tanków. Ale kto nam milczeć rozkazał?”

Warto może w tym miejscu zwrócić uwagę, że rozkaz NIE-strzelania do sowieckiego agresora, wydany przez marszałka Rydza-Śmigłego, jest do dziś objęty nakazem milczenia w ogromnej większości polskiej publicystyki. Z górą ćwierć wieku po kampanii wrześniowej, Mackiewicz wspominał sardonicznie o tym nakazie milczenia:

„Byli ludzie, którzy trwali z rozdziawionymi gębami, byli, którzy strzelali sobie w łeb; ale bardzo dużo było takich, którzy zakrzyknęli: ‘Za wcześnie na wydawanie orzeczeń! Nie czas teraz!’. Jak wiadomo, taki okrzyk nie przewiduje terminu. Minęło lat 10, i wciąż było za wcześnie. Minęło lat 20, i wciąż za wcześnie. Minie już niedługo lat 30, i fakty zaczną się rozłazić po dogmatach wyroczni narodowych.”

Po latach, Mackiewicz powiedział, że Gazeta Codzienna była „antypaństwowa na dwa fronty”, bo przez krótki czas swego istnienia borykać się musiała jednocześnie z polską opinią i z absurdami litewskiej cenzury, która zabraniała prostować nawet błąd korektorski z poprzedniego wydania, ponieważ posiadał już był placet cenzora...

Zatrzymajmy się na chwilę i zastanówmy nad głównym przedmiotem tych rozważań – cenzurą. Co w tym kontekście może oznaczać „walka z fikcją”? Zarówno w Słowie jak i w Gazecie Codziennej walczył Mackiewicz z administracyjnymi naciskami: zakazem publikacji na temat konkretnych spraw, cięciami w artykułach, z konfiskatą całych numerów; był to jednak niemal normalny świat, choć interwencje były niewątpliwie irytujące i niemądre. Ale z drugiej strony spontaniczne chowanie głowy w piasek, owo „cicho, sza!... nie trzeba głośno mówić” było czymś innym, nowym i niebezpieczniejszym. To już nie walka Dostojewskiego z carską cenzurą, ale coś o wiele bardziej złowrogiego: walka z własnymi rodakami o prawdę. Kombinacja tych dwóch czynników – oficjalnej polityki popartej administracyjnymi nakazami i społecznej presji wyrażonej w zмовie milczenia – dopiero taka kombinacja tworzyła tę fatalną

fikcję. W wolnym społeczeństwie można jednak ścierać się z obydwoma stronami, ale co począć, kiedy samo społeczeństwo przejmuje niejako wszelkie cechy autorytetu państwowego? Jak wówczas podjąć walkę?

Pod sowietami Mackiewicz pisywał do szuflady, a ściślej: do domku dla szpaków, gdzie chował swój rękopis. Po ataku Hitlera na sowieety „skorzystał z pierwszych łamów drukowanych po polsku, aby je prosić o gościnę. Nie wiem,” pisał, „czy bardziej z tęsknoty do pisania czy z nienawiści do bolszewików.” Jednak idiotyzm hitlerowskiej polityki prędko zniechęcił go do publikacji.

Wydając w Warszawie w roku 1944 podziemne pismo Alarm, narażał się na denuncjację do Gestapo, ponieważ występował ostro przeciw prosowieckiej linii zajętej przez dowództwo AK. Tytuł broszury wydanej w Krakowie w tymże 1944 roku jest znaczący: Optymizm nie zastąpi nam Polski! Optymizm czyli „radosna frazeologia”, tworzy fikcję „wyzwolenia”, a zmowa milczenia nakazuje nie mówić głośno, że całe to „wyzwolenie” nie jest niczym więcej jak sowiecką okupacją. Ta sama radosna frazeologia kazała śpiewać przed wojną buńczuczne: „Nikt nam nie zrobi nic, bo z nami jest marszałek Śmigły-Rydz!”, a podczas wojny podsuwała radość na wieść, że „kacapy biją Szkopów pod Stalingradem”. Ten sam optymizm, który kazał wyzwalać Wilno u boku krasnoarmiejców, dyktował później optymistyczne twierdzenia, że Bierut to Polak-katolik, bo idzie w procesji z księciem Metropolitą Sapiehą, a Gomułka to wielki Polak, który uratował Polskę przed złym kacapem Chruszczowem. Ale tym wszystkim zajmę się bardziej szczegółowo w dalszych częściach.

Uciekłszy przed „wyzwoleniem” z rąk enkawudzystów, Mackiewicz znalazł się we Włoszech przy II Korpusie i rozpoczął od razu pracę nad książką o Katyniu. Wydano ją pt. Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów bez podania nazwiska autora, choć za autora podawał się oficjalnie Zdzisław Stahl. Mackiewicz postanowił nie kruszyć kopii o to jawne „przywłaszczenie praw autorskich”, ale tylko ze względu na ważność sprawy. Czy był to akt cenzury? Nie, raczej pospolita kradzież, poparta dla wygody Stahla i wydawców Zbrodni katyńskiej oskarżeniami o „współpracę z okupantem litewskim”, co oczywiście w kontekście jego walki z litewską cenzurą i poparciem finansowym udzielonym Gazecie przez przedstawiciela rządu Sikorskiego, jest zarzutem komicznym. Zajmę się tym epizodem szerzej w następnej części.

Jakie więc były lekcje z pierwszego okresu zmagania Mackiewicza z cenzurą? Po pierwsze, nawet najbardziej zjadliwa i głupia cenzura legalnego autorytetu państwowego – palma pierwszeństwa w tym niechlubnym konkursie należy się niestety litewskiej cenzurze w Wilnie na przełomie lat 1939-40 – jest niczym w porównaniu z naciskami społecznymi. (Podkreślam, że nie mówię tu o cenzurze komunistycznej, bo to jest zupełnie inne zjawisko; bolszewicy nie cenzurują, ale dyktują. „Jaka tam ona była ta Polska w dobie tzw. dwudziestolecia,” pisał po latach,

„z jej błędami, które wytykamy, z żenującym trochę ‘kultem jednostki’ Piłsudskiego, z tym wszystkim, na co się sobaczy – przecież w zestawieniu z ustrojem komunistycznym była krajem wolnym.”) Po drugie, radosna frazeologia ma na celu stworzenie pokrzepiającego obrazu, który ma fatalne, usypiające skutki dla świadomości sytuacji. Po trzecie, tak stworzona fatalna fikcja wzmocniona jest następnie przez znowę milczenia, przez haniebne „cicho-sza!...” na temat rzeczy powszechnie znanych. Po czwarte, znowa milczenia czyni klęskę gorszą i utrudnia prawidłową reakcję na rezultaty klęski.